MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 53. WARSZAWA, 29 GRUDNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ŁOWCA WE WŁASNYCH SIDŁACH

KOZIOŁKI, jakie w ostatnim tygodniu jęła wywracać angielska polityka zagraniczna, sprawiły licznym u nas jej wielbicielom przykry zawód. Istotnie, ani jako *champion* sprawiedliwości, ani też jako trzeźwy stróż swych interesów nie wykazała Anglja wysokiej klasy.

Podziwiali wszyscy zręczność, z jaką uszeregowała pięćdziesiąt państw Ligi Narodów przeciwko Włochom i jak całkowicie zasłoniła swój interes woalem dbałości o triumf sprawiedliwości w stosunkach między narodami. I naraz, w chwili, kiedy opinja świata oczekiwała jakiegoś stanowczego kroku, mającego ostatecznie pognębić napastnika — nagły zwrot i zgoda na obdarzenie Włoch takiemi korzyściami, o jakich mogliby myśleć tylko po zwycięskiem przeprowadzeniu trudnej wojny. Gdzie klucz do rozwiązania tej zagadki?

Najlepiej będzie zwrócić się po odpowiedź do niezależnej publicystyki angielskiej. Otóż jeden z nielicznych tam przedstawicieli niezależnego sądu, H. Belloc, pisał w dn. 12 b. m.:

„Co zaś do żądania od innych, aby z moralnych względów byli tak dobrzy i stanęli w obronie naszej nad nimi przewagi — to jest zdumiewające, żeby podobnie fantastyczne wyjście mogło zrodzić się w głowach ludzi, nawet otumanionych dufnością co do swej prawości... Pomysł stałego sojuszu, gwarantującego istniejące korzyści zapomocą wzajemnego poparcia i dającego nowe korzyści (np. Włochom) w celu zapewnienia takiego poparcia, jest racjonalny; idea gwarancji uniwersalnej, obejmującej eksploatowanych, rozbrojonych i wydziedziczonych, jako stałych obrońców ich władców i wyzyskiwaczy — byłaby dowodem obłędu, gdyby nie była czemś bardziej u ludzi naturalnem: pełnem hypokryzji kłamstwem".

Rzeczywiście, pomysł zaprzęgnięcia wszystkich do obrony interesów angielskich wyglądał realnie tylko do chwili, kiedy stało się jasne, iż ta obrona może naprawdę wymagać dobycia miecza. Wówczas okazało się natychmiast, że Anglja pozostanie na placu sama, a jej odpowiedzialnym mężom stanu przyszły odrazu na myśl groźne wypadki na Dalekim Wschodzie, zaburzenia w Egipcie, niepewny, i bądź co bądź mający sporą dozę ryzyka, wynik walki na morzu Śródziemnem, podpisali więc układ paryski.

Mussolini, syn narodu celującego (mimo często przeciwnych pozorów) w trzeźwej ocenie ludzi i wypadków, wytrzymał *bluff* i odniósł poważny sukces. Rząd angielski natomiast znalazł się wobec opinji świata i własnego społeczeństwa w położeniu łowcy, uwikłanego we własne sidła. Nie mógł przecież przyznać się, że od początku chodziło mu o własne interesy, nie zaś o triumf sprawiedliwości powszechnej, musiał więc ustąpić i przyznać się do błędu. Jednak dalsze i ostrzejsze stosowanie sankcyj zapowiada już z zastrzeżeniami.

Cała ta sprawa miała przebieg niezmiernie interesujący, ale najciekawsze jest pewno to, o czem jeszcze się nie mówi, co jednak zaczyna się ukazywać na horyzoncie politycznym. Anglja jest bardzo potężna, jednak czy potęga ta wystarczy dziś do obronienia i utrzymania tego wszystkiego, co zgromadziła w czasach, gdy nie miała w podbojach pozaeuropejskich żadnej konkurencji?

Cytowany wyżej H. Belloc uważa za racjonalną ideję paktu gwarancyjnego, opartego na przy-

znaniu korzyści drugiej stronie. Ale to przyznanie jest przecież ustępstwem ze swego stanu posiadania, a więc niejako początkiem likwidacji. Zaś układ paryski nie zawierał wprawdzie terytorjalnych ustępstw ze strony Anglji, oddawał jednak w ręce innego mocarstwa cenną dla Anglji pozycję. Nie wielka to różnica.

Takie oto uwagi nasuwają posunięcia ostatniego tygodnia na wielkiej szachownicy świata. A dobrze jest również zwrócić uwagę na reakcję naszej publicystyki. Anglja miała przez cały czas konfliktu wielu w naszej prasie wielbicieli. Podziwialiśmy jej wierność zasadom, jak i mistrzowstwo, z jakiem potrafiła spleść ideały sprawiedliwości ze swemi materjalnemi interesami. Teraz nastąpiło pewne, jeśli tak można powiedzieć, wydłużenie nosów, jak zwykle w tych wypadkach, gdy ktoś się da wystrychnąć na dudka. Ale nie o to chodzi. Ważniejsze jest to, że w całym tym konflikcie, podziwiając angielską wierność racji stanu, nie zdobyliśmy się powszechnie na wzięcie naszej polskiej racji stanu za fundament stanowiska. Byliśmy i jesteśmy w większości prasy dla Mussoliniego twardzi. Obraził nasze poczucie słuszności. Zgoda. Ale czy aż tak dalece, żebyśmy mieli stanąć po stronie tych, którzy życzą sobie zniszczenia odradzającej się potęgi Włoch, bo przecież o to chodzi. Czy to właśnie wyeliminowanie Włoch z szeregu decydujących w Europie państw leży w interesie polskiej racji stanu?

Chciałbym, żeby mi to kto wytłumaczył.

Z. R.

ROZPROSZENIE, JAKO KALECTWO UMYSŁOWE

II. PRZEJAWY TEGO KALECTWA

Po ogólnych rozważaniach o kalectwie umysłowem żydostwa, wskazane jest podać kilka przykładów z życia codziennego, które najlepiej uwypuklą tę schorzałość duchowości żydowskiej.

Na to kalectwo wskazuje już początek rozproszenia żydostwa. Jak wynika z historji, żydzi nie okazali się intelektualnie zdolni do opanowania przyrody w swoim kraju, Palestynie. Zamiast obmyśleć takie lub inne środki powiększenia wydajności swojej nieżyznej gleby, jak to uczynili u siebie np. Egipcjanie przez sztuczne nawodnienie obszarów, osuszanych przez słońce, żydzi wymyślili... „rozproszenie". Przez ogołocanie innych narodów z ich zasobów duchowych i materjalnych, żydostwo chciało wynagrodzić sobie te korzyści, których nie było zdolne osiągnąć przez myślowy wysiłek nad ujarzmieniem przyrody w swoim kraju. Z wyłudzonem dobrem ciągnęło żydostwo rok rocznie do swojej ojczyzny z krajów rozproszenia („Na drugi rok w Jerozolimie!").

Fakt obrania rozproszenia za „normalny" tryb swego bytu wskazuje na brak u żydostwa zrozumienia tej podstawowej prawdy, że zdrowy, normalny rozwój każdego społeczeństwa możliwy jest tylko w bycie osiadłym, w masie zwartej w swoim kraju, w swojej ojczyźnie.

Ghetto, jako „namiastka" takiego bytu, nigdy go nie zastąpi.

Koczując z kraju do kraju, żywioł żydowski musiał utracić zdolność zrozumienia nawet pojęcia — „ojczyzna".

Czołowy publicysta, i to z obozu „syjonistycznego", I. Fojgeł, okazując słabe zrozumienie dla uczucia radości jadących z nim Italczyków, z powodu zbliżania się okrętu do brzegów Italji, do której po dłuższym pobycie zagranicą powracali, w maju 1935 r. pisał m. in.:

„...czy człowiek w istocie musi mieć ojczyznę? Słońce wszędzie jest to samo. Również ugwieżdżone noce są te same. Jest to, być może, pozostałość po czasach pierwotnych, kiedy to człowiek mówi sobie: ta łąka jest poświęcona bogom, lub ten kawałek ziemi stanowi „świętość". Możliwe, że ojczyzny stanowią te właśnie rozgraniczone „świętości"...
(„Hajnt", W-wa, 101/1935 r.).

Przypominają się przytoczone wyżej słowa Jak. Fichman'a:

„...śród „pierwszych świętości", do których my, żydzi, straciliśmy od wielu lat zdrowy zmysł, najtragiczniejszą jest nasza tępość do rzeczy najelementarniejszej: do istoty każdej rzeczywistości, do ziemi"...

A więc do ojczyzny.

Jednym z przejawów choroby psychicznej jest megalomanja.

Żywioł żydowski, jako ogół, cierpi na tę chorobę w wyjątkowo silnym stopniu. Objawem tej choroby żydowskiej jest koncepcja „wybrańswa". Żydzi do dziś dnia twierdzą, że stanowią naród... „wybrany".

Dr. J. Thon, przywódca żydowski w skali rozproszenia żydowskiego, w maju 1935 r. pisał:

„...my, którzy wytwarzamy największy odsetek wielkich ludzi... My, którzy jesteśmy — czy nam to przyznają, czy nie przyznają — przecież prawdziwym n a r o d e m w y b r a n y m"... .
(„Hajnt" 107/1935 r.).

Obojętne jest, na jakiem tle wpadł autor w ekstazę zachwytu nad swoim narodem. W danem miejscu... chodzi nam o świadectwo istnienia i trwania do dnia dzisiejszego samej koncepcji „wybrańswa"...

Innym objawem tejże psychicznej choroby żydowskiej — megalomanji, jest koncepcja, że w ośrodku rodu ludzkiego stoi... żydostwo.

Dr. Cwi Chajes, rabin naczelny w Austrji, przewodniczący syjonistycznego „Komitetu Akcyjnego", w sierpniu 1925 r. na XIV kongresie syjonistycznym w Wiedniu wyrzekł:

„...nie jest nic nowego, jeżeli wam powiem, że miernikiem stopnia kultury narodów jest ich stosunek do żydostwa"...
(„*Kongress Zeitung*", Wiedeń, nr. 1/1925 r.).

Twierdzenie w tem dobranem gronie — „nic nowego” — wskazuje, że jest to pogląd, panujący wśród żydostwa. A dlaczego tylko do żydostwa, a nie do chorych umysłowo wogóle? Przecież warjaci również są zdolni zatruć życie ludziom normalnym. Pozatem czy ilość żydów w jakimś kraju nie gra roli w tej „kwalifikacji”? Czy niema różnicy między Polską, gdzie żydów jest 4 miljony i np. Imperjum Brytyjskiem, czyli $^1/_6$ częścią świata, gdzie żydów jest zaledwie 600 tysięcy (według samych żydów)?

Do objawów kalectwa umysłowego musi się zaliczyć też ich niezdolność zrozumienia, że budzą w kimkolwiekbądź uczucie niechęci.

Weźmy taką czołową osobistość, jak Nachum Sokołow. Poruszając niechęć do żydostwa w Polsce, on, jako prezes światowej organizacji syjonistycznej, na XIX jej kongresie w Lucernie, w sierpniu 1935 r. mówił:

„...niebezpieczeństwo nie polega na możliwości zwycięstwa judofobskiej „ideologji”, której żałosną zawartość stanowią puste zdania”...

(„Moment” 194/1935 r., Ż. A. T.).

Samoobrona ludności rdzennej w Polsce przed dalszą okupacją żydowską jej kraju ojczystego jest dla N. Sokołowa ideologją... w cudzysłowie! (Mówca przejrzał sprawozdanie ze swojej mowy dla Ż. A. T. — o tem wzmiankowała korespondencja z Lucerny).

Ale, czy arabofobja, wyznawana przez żydostwo, zwłaszcza przez „syjonistów”, jest również stekiem „pustych zdań”?

Gdyby tak miało być, N. Sokołow nie byłby, niewątpliwie, „syjonistą”.

Czy przytoczona część mowy nie jest wyrazem naiwności myślowej, i to nie u zwykłego żyda z tłumu, ale oficjalnego przywódcy żydostwa w skali rozproszenia żydowskiego?

Weźmy dalszy przykład na brak poczucia rzeczywistości. Tenże N. Sokołow w dalszej części tejże mowy m. in. powiedział:

„...faktycznie niema ani jednego narodu, któryby wychowywał dla państwa polskiego dzielniejszych obywateli, jak żydostwo. Nikt nie prześciga polskiego żyda w pilności, inteligencji i przedsiębiorczości. On ożywia handel i przemysł i dostarcza znacznej ilości warstwy inteligentnej. Ale właśnie stąd pochodzi zawiść”...

(„Moment”, 194/1935 r., Ż. A. T.).

Dążność ludności rdzennej do pozbycia się pasorzyta żydowskiego — bardzo „pilnego”, „inteligentnego” i „przedsiębiorczego” — z dziedziny ekonomicznej w swoim kraju, w myśl przyrodzonego prawa gospodarza do urządzenia swego życia według własnych chęci i własnych potrzeb, mówca żydowski ujmuje jako... zawiść!

Czy samoobrona właściciela domu bądź mieszkania wobec poczynań intruza, chcącego urządzić sobie dogodny pobyt w tym obcym dla niego domu lub mieszkaniu, jest wyrazem zawiści?

Pojęcie zawiści wyłącza składnik krzywdy po stronie zawistnego. Tam, gdzie istnieje krzywda, są już inne uczucia, ale nie zawiść.

Czyim kosztem, jeśli nie ludności rdzennej, odbywa się w Polsce, jak zresztą w każdym innym kraju, opanowywanie przez żydostwo handlu, przemysłu i wolnych zawodów — o których to czynnościach mówił N. Sokołow?

Mówca pozatem charakteryzował żydów w Polsce, jako... „najdzielniejszych” obywateli w całem państwie...

Zapomnijmy na chwilę o tej sprzeczności, która musi stale różnić narody rdzenne i żydostwo w ocenie „dzielności” i t. p. pojęć, o czem już wiemy.

Jeżeli żydzi „polscy” byliby „najdzielniejszymi”, to takich, niewątpliwie, chcianoby widzieć jaknajwięcej pośród siebie, we własnym kraju, w Erec Izrael, zwłaszcza, że on odbudowuje się, a więc musi odczuwać potrzebę tych „najdzielniejszych”...

A jak odnosi się ludność żydowska w tym kraju do swoich rodaków z Polski?

Weźmy informację z okresu, odpowiadającego mniejwięcej kongresowi w Lucernie, czyli czasowi mowy N. Sokołowa.

Korespondent palestyński, utyskując na wrogi stosunek ludności żydowskiej do przybyszów z Polski, w październiku 1935 r. pisał:

„...autor tych słów nieraz ma sposobność rozmawiać z wybitnymi działaczami tutejszej ludności o stanie polskich żydów w Erec Izrael. Dlaczego istnieje do nich taki stosunek? Dlaczego pomaga się wszystkim z wyjątkiem polskich żydów?... Musi się rozpocząć walkę o prawa dla polskich żydów w Erec Izrael”...

(„Hajnt” 258/1935 r.).

Okazuje się, że sami żydzi, coprawda zamieszkali już w swoim kraju, w Erec Izrael, a więc nieco ozdrowiali na umyśle, lękają się, aby „polski żyd” nie zaczął „ożywiać” handlu, przemysłu i t. d. i nie zatruł atmosfery życia gospodarczego w tym kraju, tak jak to uczynił w Polsce, o czem żydzi palestyńscy wiedzą najlepiej...

A N. Sokołow dlaczego tego wszystkiego nie rozumie?

Bo, jako żyd o psychice z diaspory, utracił — wyrażając się przytoczonemi słowami Jak. Fichmana — „poczucie istoty życia”, poczucie „pierwszych wartości”... czyli poczucie rzeczywistości, jak w danym przykładzie, z obszaru Polski...

Ale, z tym brakiem u żydostwa poczucia rzeczywistości wiąże się niezdolność członków tego żywiołu do ustalenia prawdy, bo przecież prawda jest odbiciem rzeczywistości, a nie czegoś urojonego, nie czegoś opartego na złudzeniu. I dlatego już choćby — pomijając tutaj inne przyczyny — żyd nie jest zdolny do ustalenia prawdy, chyba, że jest to człowiek, który przez dłuższy czas był oderwany od środowiska żydowskiego w diasporze, a zwłaszcza taki, który zapoznał się ze skupieniem żydowskiem we własnym kraju, w Erec Izrael, z jego nowem życiem.

Albo weźmy dążność żydostwa do podboju reszty narodów. Czyż ten upór, z jakim ten żywioł dąży do ujarzmienia, usidlenia reszty narodów nie jest wyrazem patologiczności psychiki żydowskiej?

Czy może ostać się żydostwo nie tylko w walce z resztą narodów, ale chociażby nawet z jednym narodem, jeżeli szerokie masy jego ockną się, a więc zrozumieją żydowskie źródło swoich nieszczęść?

A co mówił o przyszłości żydostwa N. Sokołow na XIX kongresie syjon. w Lucernie w znanym już nam referacie?

„...w Erec Izrael“ — mówił on — „będą wyhodowane korzenie narodu żydowskiego, którego góra wzniesie się nad światem. Jest to nasza pociecha...”

(„Moment” 194/1935 r., Ż. A. T.).

Wreszcie, weźmy jeszcze jeden przykład, jako ostatni dowód na poruszony temat, mianowicie — pokładanie przez żydostwo nadziei w pomocnikach żydowskich. W walce z otoczeniem rdzennem żydostwo posiłkuje się wytworzoną i zorganizowaną przez siebie kategorją osobników w łonie tej ludności, t. zw. czynnikami pomocniczemi.

Jakiemi znamionami odznaczają się i muszą odznaczać się ci osobnicy? Jako wytwór kultury żydowskiej muszą oni, siłą rzeczy, odznaczać się temi chorobliwemi znamionami, które cechują żydów, a więc megalomanją, brakiem poczucia rzeczywistości, niezdolnością do ustalania prawdy, brakiem krytycyzmu w stosunku do żydostwa, jako swego duchowego wodza i łaskawego „pana" i t. d. — jeżeli ograniczymy ilość tych znamion do ilości wymienionych poprzednio znamion żydostwa. A więc temi znamionami, które warunkują istotną słabość żydostwa i które uniemożliwiają mu przejście do normalnego bytu, czyli bytu osiadłego bądź nad Jordanem, jako w swym kraju historycznym, bądź w innym kraju, jeszcze niezaludnionym i mającym dane do stania się krajem żydowskim.

A więc, czy pokładanie nadziei w swoich „pomocnikach" nie jest wyrazem kalectwa umysłowego żydostwa, szkodliwego w stopniu najsilniejszym raczej dla niego samego?

Na wymienionych wyżej przejawach poziomu umysłowego żydostwa w warunkach jego bytu w rozproszeniu, można ograniczyć się. One dostatecznie uwypuklają gatunkowy „ciężar" umysłowy tego żywiołu.

Na wstępie było zaznaczone, że przy rozpatrywaniu rozproszenia pod kątem widzenia zdrowego rozsądku, można i należy stosować tylko miernik narodów rdzennych.

Powyższa treść potwierdziła, zdaje się dostatecznie, słuszność tego założenia.

Ale, jeżeli tak jest, że „rozum" żydowski jako drogowskaz jest niedopuszczalny w stosunkach ludzkich, a jego wpływ rozwija się w Europie i szerzy zamęt myślowy wskutek bytu żydostwa w rozproszeniu, to narody rdzenne muszą przedsięwziąć kroki ku usunięciu źródła tego zamętu myślowego, czyli ku usunięciu bytu żydostwa rozproszeniu.

Początek w tym kierunku musi być uczyniony przez cofnięcie żydostwu, we wszystkich dziedzinach życia, dotychczasowego przywileju, zwanego „równouprawnieniem", a wynikłego wskutek pozbawienia narodów rdzennych ich przyrodzonych praw gospodarza w krajach ojczystych.

Tylko wówczas żydostwo dozna wstrząsu psychicznego i zacznie szczerze zrywać z rozproszeniem. Z takiej postawy narodów rdzennych dostrzeże, że innego wyjścia niema, że w przeciwnym razie grozi mu katastrofa. Bez przymusu żydostwo, jak wiemy, nie jest psychicznie zdolne do zerwania z tym stanem, który zwie się rozproszeniem, a który powoduje jego schorzałość duchową.

A zatem względy zdrowego rozsądku — pomijając, w danem miejscu, znane nam już względy etyki — dyktują narodom rdzennym w Europie konieczność usunięcia żydostwa z pośród siebie.

Jest to tem więcej konieczne, że uratuje się, być może, od ostatecznego zwyrodnienia i żydostwo, które nie jest w możności zrozumieć tego dobroczynnego skutku dla siebie, wskutek przeżywanej przez siebie choroby psychicznej.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

NOCE I DNI

(Dokończenie)

IV

METAFIZYCZNOŚĆ, względnie religijność powieści „Noce i dni" jest podskórnym jej nurtem, który od czasu do czasu wzbiera i wychodzi na powierzchnię świadomości osób powieściowych. Dzieje się to albo kształtem rozmów między niemi, albo tych nagłych jakby oświeceń ekstatycznej radości i pogody, ale i przebija się poprzez mądrość życiową, która jest zdobyczą, po jaką całe to dzieło dąży.

Marja Dąbrowska w doskonałej analizie psychologicznej odsłania lecz i osądza tę wadę duszy czy charakteru, którą myśmy tu nazwali sobie „brakiem woli do Rzeczywistości", a w szczególności tę jej najpoetyczniejszą odmianę, jaką tu pozwoliliśmy sobie zidetyfikować jako t. zw. *mal romantique*. Ale byłoby srogą pomyłką przypuszczać, że twórczyni postaci Barbary Ostrzeńskiej, jej siostry i jej córki potępia swoje bohaterki za to, że one bez poezji w życiu żyć nie umieją; wprost przeciwnie, najgłębszym kłopotem, przynajmniej kłopotem najosobistszym, arcymotywacją autorki „Nocy i dni", jeśli zaś nie jej, to w każdym razie tych jej bohaterek, bardzo jej bliskich, jest pragnienie, aby w życiu był patos, głębia, znaczenie symboliczne, tchy „powszechności i wiekuistości", coś lepszego i piękniejszego niż przyziemna pospolita praktyczność; jeśli postulat zdrowego realizmu jest tezą zwycięską autorki, to nie jest to teza prosta, owszem jest to synteza, do której dochodzi się przez zaprzeczenie realizmowi trywjalnemu, przez walkę. Walka, którą kobiety Ostrzeńskie toczą przeciw życiu codziennemu, życiu określonemu i jednoznacznie wyznaczonemu jest, tak mi się zdaje, dla autorki powieści głęboko zrozumiałą. Najżywszy nerw „Nocy i Dni" jest romantyczny — romantycznym jest konflikt, tylko jego rozwiązanie jest realistyczne; ale t a k i wtórny realizm nie jest wcale przyzwoleniem na to, co się potocznie nazywa „prozą życia"; owszem proza życiowa tylko wtedy może być coś warta, jeżeli przez nią prześwieca poezja, jeśli proza jest tylko s y m b o l e m świata piękniejszego od niej i wznioślejszego: ale gdzież w skończonem, określonem, płaskiem i często szpetnem, szukać poetyczności i głębi?... Na tej jak myślę drodze, po przez to pytanie, otworzyły się przed twórczynią owych istot powieściowych, do romantycznej choroby skłonnych, horyzonty metafizyki i religji; religja byłaby ziszczeniem poezji w prozie życia zwykłego i przyziemnego, rzeczywistość mistyczna desygnatem symbolicznego znaczenia spraw prozaicznych, głębią poezji, nad którą, li tylko jako pozór,

rozpięta proza życia. Nie wyzbyć się poetycznego nienasycenia, ale w rzeczach zwykłych dojrzeć poezję — to jest mądrość życiowa tej książki; ale to dojrzenie możliwe jest tylko przy metafizyczno-religijnej postawie duszy; już w owej ekstazie radosnej tej Agnieszki, było coś więcej niż nadmiar dobrego humoru, na tle ściśle psychofizycznem.

Jak znosić nieznośne sprawy powszednie, jak znosić je z pogodą nigdy nie wyczerpaną, jak wiecznie dobrym i cierpliwym być dla tego, który jest tu jedynym możliwym celem i przedmiotem naszej działalności, to jest dla „żywego człowieka“ — jeśli serce nie będzie posilane sokiem tych nagłych rozświetleń świadomości, że warto być dobrym, że wszyscy i wszystko zasługują na dobroć, rozświetleń po których zostaje poświata łagodna nadziei, tkliwości i determinacji? Ale w takich uniesieniach czuje się, że rzeczywistość jest głębsza i piękniejsza, bardziej ludzka czyli raczej nadludzka, niźli to, co czujemy i znamy w oschłości zwyczajnej. Taką jest najprostsza w wyglądzie, religijność „Nocy i dni". Gdy religijność ta nie przechodzi do zagadnień utrwalenia i poniekąd ściągania i społecznego szerzenia tych nagłych, ale przelotnych przeżyć religijnych — to nie możemy tu mówić o „religji", tylko, skromniej, o „religijności".

Ale niechcę zapewniać Czytelnika gołosłownie; oto np. Barbara rozmyśla:

„Nieraz siebie zapytywała, dokąd się to wszystko tak toczy i po co? Gdyby posiadała więcej wiedzy, znała wszystkie tajemnice wszechświata, to rozumiałaby dobrze i to. Ale żeby posiąść tę wiedzę, trzebaby mieć nie wiem ile czasu i nie wiem jaką spokojną głowę. Człowiek nie może bez wytchnienia załatwiać powszednich czynności i jednocześnie zagłębiać się w jakieś rzeczy wiekuiste, powszechne. Więc może nie pozostaje nic innego jak tylko starać się uwierzyć, że w tem powszechnem krzątaniu się są też jakieś rzeczy wiekuiste, powszechne..."

Są w człowieku dwie tęsknoty, jedna do wielkości, do czynów niezwykłych, druga do cichego trwania na uboczu od świata; jak „zaspokoić te obydwie tęsknoty“?

„...trzeba się pocieszać, że gdziekolwiek się jest, byle było się człowiekiem, dźwiga się razem ze wszystkimi los świata. Ostatecznie jakby wyglądały wszystkie walki, prace, myśli tych co działają na szczytach życia, gdyby tu i wszędzie nie stali zwyczajni szarzy ludzie, co skromnie czynią swoje. Zresztą, czy serce ludzkie tęskni do wielkich przeżyć, czy do pracy na spodzie, kto wie, czy komukolwiek więcej radości przeznaczono niż, gdy, tak jak ona dziś, zatrzyma się na chwilę pośród zabiegów i trudu i spocznie w zadumie, zdając się na mgnienie wszystko rozumieć, nic nie chcieć i w dziękczynnem milczeniu być samem tylko niepojętem istnieniem" (II, 382).

W powieści naszej są jakby dwa podejścia do problematu: jak żyć małem życiem a być zadowolonym? Raz, jakby wartościowa „autonomja zamkniętego momentu", z akcentem na p r a c ę: „niczego na świecie nie można porównywać do radości płynącej z pracy, która się toczy po myśli" (III, 2, 146) — coby oznaczało, że poza subjektywną wartością owej radości, względnie objektywną — pracy nie potrzeba już żadnych innych przeżyć i rzeczywistości t. zw. metafizycznych; zaś drugim jednak razem okazuje się, że ozdobą codziennego trudu jest to uczucie, iż się w istocie coś doniosłego robi, a ponad to uczucie wzbija się ten jakby „metafizyczny wypoczynek“ — uczucie biernego poddania się „istnieniu". Kiedyindziej znów Barbara, jak już wiemy, doświadcza już bardziej specyficznie religijnego uczucia, że wszystko jest dobre i że jest jakby jakiś tej dobroci powszechnej centr, jakieś „serce nieba i ziemi“,..

Jest to jest z tem symbolicznem znaczeniem rzeczy?

„Na to samo drzewo patrząc, widzisz cud stworzenia lub widzisz cień od skwaru, liście, owoce i budulec... Ta myśl dźwigała się dalej ku górze i miało z niej wyniknąć jeszcze doskonalsze odsłonięcie się tajemnicy życia i świata",

a kulminuje ta myśl w zdaniu, że „z tym samym pługiem idąc", widzisz Boga lub grudę ziemi"... (IV, 2, 159). Zresztą autorka „Nocy i dni" z pewnym lękiem używa imienia Boskiego i raczej, jak jej Niechcic, mówi „... jeśli jest Bóg“... Kiedy raz Barbara wyobrażała sobie, że śmierć jej siostry Teresy to była kara boska na nią, za jakieś jej przewinienie (zazdrość), to Bogumił

— „jakaś ty zarozumiała, rzekł ostro, myślisz, że Bóg, jeśli jest, ugodziłby naraz tylu ludzi, zasmucił tyle serc i uśmiercił taką słodką istotę po to tylko, ażeby ukarać ciebie, za głupstwa, a nawet za jaki wielki grzech?...“ (I, 322).

Tak oto wygląda ten szlachetny zdrowy rozsądek w teologji: Bóg jeśli jest, jest tylko i wyłącznie źródłem dobra, Ideałem żywym szlachetności. Inny z ludzi niechcicowego typu, Ceglarski

„był przeświadczony o istnieniu niematerjalnej rzeczywistości wyższego rzędu, której świat widzialny był tylko częściowym przejawem czy też dziełem. Poczucie łączności z tym lepszym, nadprzyrodzonym pierwiastkiem bytu pomaga żyć i jest źródłem wszystkich bezinteresownych instynktów moralności“ (III, 2, 188).

To jest inna wiara niż wiara w Życie, w dobrotliwą, humanistycznie wartościową moc przelewającej się pełni energetycznej.

Najwłaściwszą swą orjentację, już wobec katolicyzmu i chrystjanizmu wogóle, wyraża autorka, zdaje mi się, w rozmowie Agnieszki z tym śmiesznym trochę i rubasznym, ale najzacniejszym i mądrym X. Komodzińskim, w której znajdujemy wiele bardzo dla współczesnego człowieka, po chrześcijańsku zorjentowanego ale jeszcze nie chrześcijanina, charakterystycznych t. zw. „zarzutów i wątpliwości". Ta rozmowa zasługiwałaby na osobne wtrącenie się do niej, na co nie mam już miejsca, dość, że badacz religijności naszych czasów będzie w niej miał jeden z instruktywnych dokumentów. Dąbrowska nie jest w „Nocach i dniach" chrześcijanką *explicite*, choćby dlatego, że nie zaznacza swego t. j. swych bohaterów stosunku osobistego do Osobistości Chrystusa, co jest chyba wstępnym warunkiem kwalifikacji jako „chrześcijanina", a to choćby nawet szło o chrystjanizm jaknajliberalniej pojęty; jest raczej spirytualistką o orjentacji chrześaijańskiej. X. Komodziński zapewnia Agnieszkę, że nie szukałaby, gdyby już nie miała... Jest ona chrześcijanką *implicite*, przez swego niechcicowego ducha, który jest duchem cierpliwości, wytrwania i pokory:

„Ludzie ducha muszą tkwić w życiu po uszy całym sobą, ale być niezależni od życia. Muszą wszystko przecierpieć i przeczekać... Każde jarzmo przyjąć i z każdego siebie i drugich wyprowadzać miejsce, ich jest wszędzie, byleby nie zaparli się siebie..."

a tak myśląc Agnieszka „przechyliła szalę, ku której ważył się ród Nichciców" (IV, 2, 200).

I w ten sposób też rozwiązane zostaje pytanie o poezję w życiu: „W powszedniem toczeniu

się dni i nocy" należy szukać tej „niezwykłości wzruszeń, tej wyższej treści..." (III, 2, 107). Zgoda na powszedniość prędkoby stała się rezygnacją i otępieniem, gdyby poprzez czas powszedni nie przeświecał symboliczny blask wyższego sensu... Ten wyższy sens jest dwojaki — dziejowy i metafizyczno-religijny.

*

Człowiek jest biedny, zaplątany w gąszcze zagadek, nie wiedzący co z czego płynie, ku czemu co zdąża, nie pojmujący co w nim samym siedzi, co go pcha, męczy i trawi, nie umiejący zgadnąć czy źle mu dlatego że chory, czy chory dlatego że mu źle na świecie (II, 61), nie mogący się z drugim porozumieć, a „ta niemożność jest jedną z najcięższych mąk na świecie"(IV, 2, 296). Człowiek jest biedny i dziecinny, smutne i naiwne czem się bawi i trudni.

„Biedny człowiek dąży do tego, by uczynkiem zaświadczyć i samego siebie raz jeszcze przekonać o swem istnieniu, by zrobić coś co się da zdaleka ujrzeć, siebie w ten sposób przekroczyć, stać się dotykalną i przedmiotową cząstką rzeczywistości dokoła. A opanowany tą chęcią, czyni co może i nie zawsze wie czem, to co uczyni, będzie dla drugich, jakie miejsce zajmie wśród niezliczonych zjawisk, czyni na co go stać, zeszywa dywaniki, urządza mieszkanie, wywraca i wznosi państwa".

A nad tem wszystkiem przewala się wielka kosmiczna epopeja Czasu... I szczęśliw ten, komu dano z pośród swoich krótkich i wciąż zmiennych i frasobliwych dni i nocy, czasem w jakiemś błogiem a spokojnem uniesieniu, jakby wychylić głowę ponad krótką falę, w której płynie i jakby z góry spojrzeć na potężny i powolny prąd trwającego mijania — jak chmury powolnie mijają na trwającem niebie (finał t. II-go) — i dojrzeć na mgnienie oka tajemniczą wielkość losu swojego biednego. Pewnego jesiennego popołudnia, kiedy już w domu zrobiło się pusto, bo dzieci odjechały do miasta, Bogumił i Barbara wyszli na przechadzkę.

„Wspaniały zachód, szepnęła pani Barbara.
Tak, potwierdził Bogumił Niechcic.
Pani Barbara odurzyła się blaskiem wieczornej pogody, jak kielichem wina. Świat wydał jej się wprost niebywale piękny. W życiu bywają noce i bywają dni powszednie, a czasem bywają też niedziele... Może wkrótce, myśli pani Barbara, znów się wszystko skotłuje, ale na razie można troszeczkę wytchnąć. I serce jej się ucisza". (II. 381).

To jest najcichsza i najprostsza mądrość książki o nocach i dniach, mądrość zarazem prozaiczną i poetyczna: prozaiczna, bo trzeba prozy życia, codziennego mątu i częstej zgryzoty i wiele roboty, ażeby skosztować smaku takich uciszeń; ale trzeba mieć jakieś czucie, że świat jest głębszy i ciekawszy, niż codzienny mąt, aby umieć zakosztować istotnego, jakiegoś rewelacyjnego smaku takich ukojeń.

„Noce i dni" nie są, jak myślę, epopeją w sensie dziejowym; jeśli są epopeją, to *epopeją*, że tak powiem, *ludzkiego trwania i mijania*. Że są epopeją, to dzięki temu, że ich najgłębszym sensem jest walka, walka zwycięska, o *epiczną postawę wobec życia*. „*Epiczne*" bowiem jest to, co jest powszechne, co jest typowe, co jest *jednością pośród wielu* zdarzeń i rzeczy, co jest niesione czasem wielkim i powolnym, uroczystym. Niezmiernie różnorakie są losy ludzi; i rozmaite są w życiu jednego człowieka czasy: „Jest czas rodzenia i czas umierania; czas sadzenia i czas wycinania tego co sadzono; czas zabijania i czas leczenia; czas rozwalania i czas budowania; czas płaczu i czas śmiechu; czas smutku i czas skakania..." — ale w tem wszystkiem i nad tem wszystkiem jest jedno: Wspólny los człowieka, który się urodził, rośnie i kończy się. Czynić to co jest do czynienia i odejść jak spracowany robotnik — oto i wszystko. Jeśli zaś ten los człowieka, los mrówczy, straszliwym nie jest, jeśli owszem można dać nań spokojne przyzwolenie, to właśnie dlatego, że, pojmując siebie samego epicznie, czując się unoszonym przez istnienie jako jedna typowa fala powszechnego losu, człowiek czuje jakąś swą wielkość, czuje pociechę tajemnic, które są jak ocean głębokie i spokojne: „Wszystkie rzeki idą do morza, wszakże morze nie wylewa; do miejsca, z którego rzeki płyną, wracają się, aby zaś stamtąd płynęły"... Myślę, że najwłaściwszym urokiem powieści „Noce i dni" jest ten posępny ale ukojny nastrój jakby owej eklezjastycznej rytmiki, nastrój, który się już w samym tytule przejawił i przemawia do nas z niejednej karty jej tomów. Chcę jeszcze zauważyć, jak to wszystko jest rolnicze; przecież to jest prawdziwie rolnicza, gospodarska, gazdowska postawa i mądrość: Nigdy się nie śpieszyć, nigdy nie niecierpliwić, niczem nie gardzić, nigdy nie rozpaczać, ale zawsze czekać, wszystko przeczekać, swoje robić i kiedyś, wkońcu, jeżeli nie dziś, to za rok, albo jeszcze kiedyindziej, doczekać się zbioru z siewów minionych: bo w tym wielkim ciągu czasu są pogodne pory i niepogodne. „Kiedy zło weźmie moc największą, w ten czas masz ujrzeć odmianę najprędszą". Byłoby jednak zbyt dobrodusznem uproszczeniem tak formułować morał tej powieści, która wyraża przekonanie, że *istnienie jest tragiczne*; ale coś z tego jest.

*

Za centralne więc zdanie tej książki (takie, w którem najzwięźlej i najdosadniej zawarty jest najwłaściwszy problemat) uważam to pytanie Barbary: „*Dokąd się to wszystko tak toczy i poco?...*" A za *szczytowe* zdanie (to, w którem najzwięźlej zawarta jest odpowiedź na zdanie centralne) uważam tę myśl Bogumiła: „Pomyślał, że, *albo życie nie ma żadnej wartości, albo jeśli ją ma, to nie trzeba poto daleko chodzić*. Wszędzie, myślał, *we wszystkiem jest tyle dobra dla człowieka co umie patrzeć w głąb rzeczy*" (I, 120).

Żeby więc, w jednem zwięzłem zdaniu zawrzeć ideję dzieła: Jest ono *walką o sens i wartość rzeczywstości najbliższej*.

*

Niestety nie mam już miejsca na zamieszczenie uwag o technicznych sposobach formalnych, których używa autorka „Nocy i dni" ani na piękne i wzruszające cytacje. Zauważę tylko, że unika ona, jakby umyślne, sposobów zbyt wyrafinowanych, „formistycznych"; owszem chętnie, czy to w prowadzeniu biegu akcji, czy to w charakteryzowaniu osób, czyto w obrazowaniu, posługuje się metodami starszemi, tradycyjnemi, czasem nawet nieco naiwnie; mógłbym wymienić to i owo, co wydaje mi się usterką, ale myślę, że byłaby to już pedanterja, zbędna wobec ideowych i artystycznych w głębszem, treściowem znaczeniu, walorów. Uważam, że prostota techniki powieściopisarskiej, „forma" książki, dobrze przylega do

jej najgłębszej „treści", która jest przyzwoleniem na prostotę życia.

„Pewne zaniedbanie formy jest konieczne, aby duch mógł przez nie przezierać; nam przecież zawsze podoba się duch, nawet gdy o tem nie wiemy" (I. 169). Wrażenie estetyczne „Nocy i dni" jest właśnie w tem pięknie czyli wyżwalającej i podnoszącej ducha właściwości ich idei — ale idei, przełamującej się nietylko w zdaniach kształtu intelektualnego, lecz i w stu konkretnych przeżyciach osób powieściowych i w objektywnych całostkach opisowych. Przepiękne są zwłaszcza finały, czy rozdziałów czy tomów; w nich jakby skoncentrowana jest cała głęboka ale pożywna, i rzekłbym twórcza, melancholja dzieła. Dąbrowska nie żenuje się morału, i, wolno rzec, rehabilituje artystycznie morał; powiada gdzieś, że „złota myśl jest na końcu, nie na początku, że prawdziwe natchnienie zdobywa się po tęgiej pracy przygotowawczej" i to spostrzeżenie z psychologji twórczości zdaje się wyrażać i całą „formą wewnętrzną" i nawet ideję dzieła: Jak idea dzieła jest docieraniem i dodzieraniem się uporczywem do wewnętrznego nurtu patosu, piękności, wielkości, sensu, jaki tętni tajnie w sprawach małych, tak i w narracji swej poetka gromadzi nam pełno relacyj o aktualjach życiowych, albo i o ważnych sprawach życiowych, ale sprawach prozaicznych, jak kłopoty z dziećmi, gospodarskie, choroby i tym podobne — ale gromadzi to wszystko po to, aby się przedrzeć na wierzch, do światła, a tem światłem jest myśl moralna, która temu małemu życiu nada sens patetyczny, acz wyrażony jaknajprościej; ta myśl, która najczęściej, a symbolicznie w tych finałach się jawi, jest i estetycznem przeżyciem, bo w jej świetle estetycznie odpoczywamy, przebiwszy się zwycięsko przez gąszcz spraw, które mogłyby nam być obojętne i zbędne, a które teraz oto pojmujemy nagle jako spięte jednością sensu wnętrznego, jako przygotowanie do myśli, która sama w sobie już jest piękna. Powieść Dąbrowskiej jest z tych, w których się idzie po myśl.

A przyroda, której jest tyle, ile potrzeba w powieści o wsi, ale która nie przytłacza życia ludzi, a malowana jest zwięzłemi, plastycznemi i odrazu nastrojowemi skrótami? A te ważne, przełomowe chwile, kiedy zaczyna się dziać coś ważnego i groźnego, jak np. kiedy ten pierworodny, w dzieciństwie wczesnem zmarły, Niechciców biedny mały synek Piotruś, okropnie przeraził się, niebacznie, dla żartu, przez rodziców nastraszony, i wkrótce potem, może z przestrachu, rozchorowuje się, by umrzeć — jak w takich momentach opis staje się pieczołowicie dokładny, jak skupiony i lapidarny — i jak serdeczne uczucia, te najzwyklejsze, najpowszechniejsze, wszystkim ludziom poczciwym zrozumiałe, klasyczne ludzkie uczucia w czytelniku wtedy wzrusza i wyzwala?... „Noce i dni" to jest dobra książka, dobra bo namaszczenie głębokiego piękna udziela zwyczajnemu życiu zwyczajnych dobrych ludzi. Jest przytem rdzennie polska — przez cały swój klimat duchowy. Kroczy wielkim, bitym szlakiem naszej szlachetnej literatury powieściowej ubiegłego wieku. A postać Niechcica Bogumiła napewno wejdzie do ekipy postaci literackich, które żyją w wyobraźni oświeconego społeczeństwa jako pewne typy — i do słownika polskiego: „Niechcicowski", „prawdziwie niechcicowski" będzie tyle znaczyć, co życiowo realistyczny, ale w szlachetniejszem, głęboko uczciwem znaczeniu; a postać Niechcica będzie argumentem, że poczciwym człowiekiem być, to wcale nie znaczy być mdłym i mizernym. Jeśli tak, — to będzie to jeszcze jednym na to przykładem, że twórca artystycznie zwycięski jest trochę jakby stwórcą. Wypuszcza z głowy swej na świat istotę tak żywotną, że każdy, kto ją spotka, wierzy, że ona musi istnieć naprawdę; a dzięki temu, działa ona żywym przykładem, jakby żywy człowiek. Dużo teraz mówi się o „szarym człowieku"; Marja Dąbrowska tę „szarzyznę" oświetla światłem pięknem, w którem widać jej szlachetniejsze możliwości, głębokie i mądre; a takie widoki może bywają suggestjami?...

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

MRÓZ

Mróz, mróz, mróz
W ziemię wrósł,
Wszerz i wgłąb,
Podły ziąb,
Mróz, mróz, mróz!

Żyd pierzyną trzęsie,
Lecą puchy gęsie,
Biało, biało, biało,
A to śniegu nawiało!

Mróz, mróz, mróz
Śniegu zwiózł,
Rzeki skuł,
Życie struł,
Mróz, mróz, mróz!

Niech sobie hula po dworze,
My siedźmy w ciepłej komorze,
Zlituj się nad nami, Boże!
Mróz, mróz, mróz!

ARTUR CHOJECKI

GŁOSY

Z NIEPRAWDZIWEGO DOPRAWDY ZDARZENIA jest pismo poważne, a przynajmniej za takie chcące uchodzić, omawiające wszystkie problemy Polski dzisiejszej, a nie wspominające nic o żydach, niepoświęcające im najmniejszej nawet wzmianki, niedostrzegające wogóle ich istnienia. Przecież takie jaskrawe niedołęstwo (?) obserwacji i nieumiejętność należytego klasyfikowania zagadnień pogrąża zupełnie tych polityków w oczach zdrowej opinji narodu; — ich recepty są stanowczo nie dla nas i nie leczą naszej największej choroby. „Polska myśl państwowa" (bo nią się firmuje to pisemko) żyda powinna przedewszystkiem zauważyć, a nie bujać po rozłogach Ukrainy, co stanowi jej ulubione zajęcie.

Tak się jednak składa, że gdy ktoś nie szuka głównych bolączek u siebie, na swojem podwórku, zawsze się zaplącze w jakichś cudzych. Panowie z „Naszej przyszłości" uważają za dużo istotniejsze dla losów Polski budowanie niepodległej Ukrainy, w imię „koncernu o troistym herbie" jak się dziwacznie wyrażają, niż rozwiązywanie sprawy żydowskiej,—a to już jest bez przesady obłęd, zaś jego przejawy nieraz wprost śmieszne. Bo oto ci „trzeźwi" i ciągle swą trzeźwość zachwalający politycy rozumują i piszą jak w malignie. Widząc brak zrozumienia narodowej racji stanu u Rusinów, chcą im tę rację podsunąć, ale zapominają, że przecież to się nie da zrobić, że te rzeczy musi każdy naród sam sobie przemyśleć i wypracować.

Śmieszne i ograniczone jest odbronzowywanie historji kozackiej przez Polaków, w tej nadziei, że to taka rewizja jak szkoły krakowskiej, i że takie jak tamta skutki w narodzie ruskim wywrze. Przecież gdyby taką historję Polski jak Bobrzyński napisał Niemiec, czy Rosjanin — mybyśmy jej wcale nie czytali, a wprost ją obwołali za paszkwil. Takie rzeczy może pisać tylko rodak, a nie bądź co bądź antagonista, chociażby bardzo przychylny. Dla dziejów patologji polskiej myśli politycznej te 45 zeszytów „Naszej Przyszłości", jakie się dotychczas ukazały, stanowić będą pierwszorzędny materjał.

Z POWODU PEWNEGO ŻYCIORYSU

Od redaktora „Słownika Biograficznego" otrzymujemy następujące wyjaśnienie:

RÓŻNE recenzje miewał nasz „Słownik Biograficzny", przeważnie nawet, chwalić Boga, łaskawe. Ale żadna nie zrobiła takiego wrażenia, jak „Uzupełnienie życiorysu" Tobiasza Aszkenazego w „Myśli Narodowej" (nr. 49 i 50). Zaczyna się od przymiotnika: „Świetny", a kończy twardem uderzeniem w stół: „To są rzeczy niedopuszczalne". I ten monogram na podpisie: P. P. Zrobiło mi się w oczach ciemno-granatowo... Jakby mię kto zdzielił pałą gumową...

W normalnych czasach nie prowadzi się rozpraw z kimś nieznanym nawet z nazwiska. Ale dziś, gdy jesteśmy wszyscy pod troskliwą opieką P. P., pseudonimy i kryptonimy są usprawiedliwione. Służę więc wyjaśnieniem. Przedewszystkiem przyznaję, że w świetle informacyj, które posiada pan P. P., artykuł pana Tyrowicza o Aszkenazem wymagał uzupełnienia. A był to człowiek dwuznaczny i w r. 1419 zmuszony do wyboru między polskością i żydowstwem okazał się żydem, informował misję Barthelémy'ego jednostronnie i tendencyjnie. Autor tę sprawę zapomnianą przez swe przemilczenie mimowoli — rozgłosił.

Dzisiejszy redaktor „Słownika" w okresie, kiedy się rozgrywała sprawa Aszkenazego (luty — czerwiec 1919 r.) znajdował się w Paryżu na konferencji pokojowej, gdzie go pochłaniały sprawy jeszcze ważniejsze. Z całej afery zapamiętał tylko końcowy moment rehabilitacyjny. Zresztą, czyż można żądać od redaktora, aby wiedział na pamięć tysiące dat i faktów, jakie przynosi każdy zeszyt i uzupełniał w dodatku wszystkie niedomówienia?

Ale co mogła na to powiedzieć Redakcja Słownika? Gdyby pan P. P., dostrzegłszy błąd, zwrócił nań uwagę redaktora (którego nazwisko i adres nie są obce „Myśli Narodowej") umieścilibyśmy sprostowanie bez wahania. Przecież w tym celu ogłosiliśmy w zeszycie 4 wezwanie do czytelników, aby nam nadsyłali do zeszytu 5 poprawki. Jeżeli do życiorysu Włodz. Antonowicza przyjęliśmy sprostowanie, nadesłane przez Rusina, prof. M. Kordubę, to czyż nie dalibyśmy sie przekonać argumentom Polaka?

Niestety, teraz już z tym „fantem" nic się nie da zrobić. Kto chce, niech prowadzi obok „Słownika" inne wydawnictwo, krytyczno-polemiczne, gdzie różni specjaliści wojować będą o szczegóły, ale nasza publikacja tylko raz na rok prostować będzie swoje błędy.

Co się zaś tyczy udziału żydów w „Polskim Sławniku Biograficznym", to liczba współpracowników naszych semickiego pochodzenia wynosi około 10 na 400; wśród nich prof. Majer Bałaban opracowuje wyłącznie Żydów niespolszczonych. O Polakach matematykach, lekarzach, muzykach i literatach pisują zrzadka specjaliści niearyjskiego pochodzenia, o ile znają dany przedmiot lepiej niż wszyscy aryjczycy. Odsetek Żydów lub półżydów, o których mowa jest w „Słowniku" jest jeszcze mniejszy, około 20 na 900. Komu ten procent wyda się wysokim, ten zechce zważyć, że „Słownik" nie jest ani Panteonem dobrych patrjotów, ani wystawą rasowej polszczyzny. Stosuje się w nim kryterjum znacznego udziału w polskiem życiu politycznem, kulturalnem lub gospodarczem. A czyż którykolwiek czytelnik „Myśli Narodowej" zaprzeczy, że ów udział naprawdę był i jest znaczny?

W jednej tylko dziedzinie widać też go mało, mianowicie wśród prenumeratorów „Słownika". Tych, którzy popierają narodowe przedsięwzięcie, można policzyć na palcach obu rąk. Inni nas bojkotują. Jeżeli pan P. P., pragnie poprzeć ten bojkot, to niech dalej pisze o „Słowniku" w tonie ciemno-granatowym.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

NAUKA i LITERATURA

ZE STUDJÓW DANTEJSKICH

JESZCZE jedno poważne dzieło poświęcone Dantemu przybyło świeżo ogromnej literaturze o nim; jest ono jednak tego rodzaju, iż można wątpić, czy przyczyni się do lepszego zrozumienia jego życia, dzieł oraz sztuki. Przeciwnie, zdaje się nam, że praca znakomitego badacza średniowiecza, dominiknina O. Mandonnet *„Dante le Théologien“* — ją właśnie mamy na myśli — da powód do licznych nieporozumień i, w umysłach nieobeznanych należycie z przedmiotem, zakwestjonuje niejedną z pozycyj w dziedzinie wiedzy pewnej o twórcy „Boskiej Komedji“, zdobytych z wielkim trudem i zgodnem uznaniem wielu badaczy.

Nic by zresztą w tem złego nie było, gdyby tu mniejsza prawda była zastąpiona pełniejszą, w dziele wszakże O. Mandonnet poglądom słusznym zostały przeciwstawione poglądy bardzo wątpliwe, poparte tylko niezwyczajną erudycją i subtelnem rozumowaniem. O cóż tu chodzi? Więc naprzód O. Mandonnet twierdzi, że Dante był klerykiem tonsurowanym i przyjął święcenia mniejsze, ale wśród okoliczności, co wstrząsnęły jego młodością, zrzekł się swego powołania, i z tego powodu czuł się zawsze niepocieszonym. Tem się tłumaczy — podług autora — to, że jego działalność świecka nosi charakter kapłański, wyraża się szczytną misją „kaznodziei i doktora“ — jak powiada O. Mandonnet.

Co do klerykatury i święceń mniejszych, to jedno i drugie jest mało prawdopodobne, przynajmniej nic o tem nie wspomina M. Barbi (p. *„Dante. Vita, Opera e Fortuna“*, 1933 r.), a więc jeden z tych skrupulatnych badaczy, który przesiał przez sito krytyczne wszelkie możliwości związane z życiem Dantego.

Gdyby ktoś chciał spierać się z czcigodnym autorem, to mógłby, między innemi, przeciwstawić jego poglądowi inny, mianowicie, że Dante, już jako młodzieniec, przejęty był przedewszystkiem sztuką... rymotwórczą (*„dire parole per rima“*) i to taką, co opiewała miłość, wprawdzie bardzo wzniosłą, zgodnie z kanonem prowansalskim i t. p., ale w punkcie wyjścia dość ziemską. Niepocieszenie Dantego dalej, płynęło nie z powodu wyrzeczenia się powołania kapłańskiego, lecz, pomijając ciężkie przejścia osobiste, wskutek tego, że uświadomił on sobie, iż na zło czasów, w których żył, nie znajdują czy nie chcą znaleźć skutecznej rady najwyższe instytucje ówczesne — boskie i ludzkie, duchowne i świeckie — sprawujące władzę na świecie. Takim stanem rzeczy wstrząśnięty do głębi swej wielkiej i namiętnej duszy, wystąpił do walki bezwzględnej ze złem świata, wyniósł się ponad wszelkie jego instytucje, wymierzające ludziom sprawiedliwość, wezwał na sąd ostateczny przed trybunał swego ducha występną ludzkość, sądził i skazywał na wieczyste męki — żywych i umarłych. Taka właśnie postawa Dantego nadała jego działalności charakter nietylko szczytnej misji „kaznodziei i doktora“, lecz czegoś o wiele większego.

Następnie O. Mandonnet rozstrzyga zagadnienie Beatryczy tak, jak to niejeden przed nim rozstrzygał, t. j. negując stanowczo jej postać ludzką i utożsamiając ją z Teologją. Stoi to w zupełnej sprzeczności z tem, na co się już, po wielu a wielu poszukiwaniach, zatargach i dyskusjach, zgodzili najznakomitsi dantolodzy, mianowicie, że Beatrycze była prawdziwą, z ciała i krwi, kobietą, której urokowi uległ Dante za młodu i czcił ją przez całe życie; po śmierci swojej stała się ona dla niego nietylko nieodstępną towarzyszką i przewodniczką w jego ciągłej wędrówce wzwyż, do najwyższych celów żywota; nietylko symbolem (w „Boskiej Komedji“) wiedzy rzeczy boskich, t. j. Teologji, lecz czemś znowu o wiele większem od tego wszystkiego, istotą wyższą od aniołów i błogosławionych, jakąś, obok Matki Bożej, inną Madonną, istniejącą wyłącznie dla niego, jak to wykazuje przekonywająco m. in. G. Papini (p. *„Dante Vivo“*). Ale będąc symbolem rozmaitych wielkich rzeczy, przebóstwiona Beatrycze nie przestaje być konkretną osobą ludzką, Beatryczą-kobietą. Na to jest tyle dowodów w całem dziele twórczem Dantego, że nie wyczuć tego i nie spostrzec mogą tylko umysły zasklepione w swem abstrakcyjnem wyobrażeniu wielkiego poety, niewidzące poza swoją abstrakcją żywego człowieka.

Oczywiście, Dante tworzył „Boską Komedję“ mając na względzie cele innej jeszcze natury (sąd nad występnem człowieczeństwem, przekształcenie rodzaju ludzkiego i t. p.), niż uczczenie Beatryczy; nie trzeba jednak zapominać o tem, co zapowiada w końcu swojej *„Vita Nuova“*, w której opowiada dzieje swej miłości młodzieńczej, gdyż z tego jasnem się staje, iż pierwszą pobudką do tworzenia „Boskiej Komedji“ była chęć sławienia tej „błogosławionej“, o której ma nadzieję, jeśli dłużej żyć będzie — jak pisze — „powiedzieć to, czego o żadnej nigdy nie powiedziano“. I Dante spełnił swoją zapowiedź, w największem bowiem dziele swojem przemawia do nas nietylko jako teolog, czciciel wiedzy o rzeczach boskich, lecz także jako człowiek, którego serce było kiedyś rozdarte z powodu żywej istoty kobiecej, której obraz, w tej lub innej postaci, takiego lub innego symbolu, nie schodzi mu z przed oczu i pamięci.

To wszystko należy do tych faktów z życia oraz twórczości Dantego, co nie wywołują już sporów erudycyjnych— często bezpłodnych — zostały bowiem stwierdzone i przyjęte przez najpoważniejszych fachowców. Dziwić się przeto można, iż jeden z takich wszczął nanowo spór o to, co już weszło w skład bezspornej wiedzy o Dantem. Wartość więc dzieła O. Mandonnet nie na tem polega, jak on uzasadnia swoją główną tezę, iż Beatrycze jest tylko symbolem Teologji, lecz na bardzo cennych wywodach jego o życiu intelektualnem z końca średniowiecza, o znaczeniu w niem symbolów, alegoryj i t. p. Z tem specjaliści będą musieli się liczyć.

WADYSŁAW JABŁONOWSKI

ROCZNIK GDAŃSKI

WYDANY obecnie tom VII i VIII „Rocznika Gdańskiego“ za lata 1933 i 1934[1]) zawiera szereg cennych rozpraw naukowych oraz obfity dział materjałów historycznych.

Jako pierwszą umieszczono pracę prof. dr. Zygmunta Wojciechowskiego p. t.: „Pomorze, a pojęcie Polski Piastowskiej“ (o roli poszczególnych dzielnic w budowaniu państwa polskiego). W pracy tej autor wykazuje, że Pomorze, w zaraniu dziejów Polski było początkowo tylko terenem bezpośredniej ekspansji najstarszego ośrodka Polski — Wielkopolski. Rychło jednak stało się ono niezbędnym geograficzno-politycznym kluczem państwa polskiego, budowanego przez pierwszych Piastów na obszarze Słowiańszczyzny zachodniej. Państwo to, położone między Odrą a Wisłą, miało dwa takie „klucze“ — Pomorze, to jest ujście obu tych rzek oraz Śląsk — to jest ich źródła. Budowa państwa, opartego o tak zamkniętą całość geograficzną była koncepcją polityczną pierwszych historycznych królów polskich. Całość ta, budowana konsekwentnie aż po Bolesława Krzywoustego, ulec „miała rozpadowi równolegle z rozkładem państwa na dzielnice“. W dalszym ciągu swej pracy omawia autor rolę Pomorza w dążeniach do zjednoczenia, wreszcie dzieje odstępstwa od pierwotnej koncepcji terytorjalnej, zamkniętej wspomnianemi „kluczami“. Jako jedną z przyczyn, co ciekawe, wymienia tu autor przeniesienie stolicy do Krakowa, a zatem przesunięcie ośrodka polityki z Wielkopolski, zdawna doceniającej znaczenie Pomorza, do Małopolski, mniej tę

---

[1]) Gdańsk, 1935, nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku.

kwestję rozumiejącej, a za to mającej swe interesy partykularne, skierowane ku grodom czerwieńskim.

Praca prof. Wojciechowskiego ma wartość nietylko naukową. Mamy tu do czynienia z historją—mistrzynią przyszłości, a nauka jej powinna być znana tym, którzy chcą się orjentować w dziejowych zadaniach Polski.

Najdawniejsze dzieje Pomorza i jego związków z Polską omawia też praca dr. Józefa Widajewicza p. t. „Burysław", w której autor polemizuje z dr. Koczym na temat poglądów jego co do tej zagadkowej postaci.

Tego też okresu dotyczy praca dr. Tadeusza Lehr-Spławińskiego p. t. „O nazwie pomorskiego grodu Wolin-Julin u ujścia Odry".

Dr. Marjan Małuszyński w pracy p. t. „Zabór Pomorza przez Krzyżaków" (1308 — 1309), daje analizę działań wojennych tego zaboru, który dotąd omawiany był wyłącznie z punktu widzenia historji politycznej.

Następuje praca uczonego czeskiego, dr. Otokara Odložilika p. t.: „Husyci na brzegu Bałtyku w 1433 roku". Potem praca dr. Karola Górskiego p. t.: „Z dziejów ustroju Pomorza", w której omawia on urząd gubernatora królewskiego, istniejący w latach 1454 — 1467.

Dr. Kazimierz Lepszy w pracy p. t.: „Strażnicy Morza Stefana Batorego", oraz dr. Kazimierz Piwarski w pracy p. t.: „Jan III Sobieski wobec spraw bałtyckich w latach 1693 — 1694", dają ważne wycinki dziejów stosunku Polski do morza w w. XVI i XVII, wreszcie dr. Janusz Staszewski w dwu pracach p. t.: „Artylerja polska pod Gdańskiem 1807 r." oraz „Z dziejów garnizonu polskiego w Gdańsku w latach 1808 — 1812", sięga już do dziejów porozbiorowych.

Na tem kończy się część pierwsza Rocznika. Prace, wymienione wyżej, obejmują łącznie 272 str. druku.

Następuje dział drugi, zatytułowany „Materjały". Obejmuje on pozycje: „Materjały do dziejów handlu hanzy pruskiej z Zachodem" — wydał dr. Leon Koczy, „Mało znany pomnik prawa bartnego pomorskiego"—podał do druku dr. Karol Górski, „Co szlachcic polski kupował w Gdańsku (1747—1757)", z archiwów rodzinnych podał Stefan Rostworowski, „Majątki duchowne sekularyzowane po r. 1772 w obrębie województwa Pomorskiego i W. M. Gdańska", zestawił ks. P. Czaplewski, „Nieznany polski poemat morski z XVIII w.", wydał dr. W. Pniewski, „Hołd królom polskim z Gdańska i Królewca", podała dr. S. M. Sawicka, wreszcie „Nieznany artykuł St. Przybyszewskiego z czasów jego pobytu w Gdańsku", podał z autografu ks. dr. K. Kantak.

Rocznik zamyka kronika T-wa Przyjaciół Nauki i Sztuki za lata 1933 i 1934. Ogółem omawiany tom Rocznika obejmuje 460 str. druku.

Komitet redakcyjny stanowili: dr. Adam Czartkowski, prof. dr. Marcin Dragan, prof. dr. K. Jeżowa, dyr. W. Konderski, prof. dr. Wł. Pniewski, radca A. Siebeneichen oraz dr. R. Wodzicki.

„Rocznik" chlubnie świadczy o działalności Towarzystwa, które go wydało.

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki jest ważną placówką kulturalną polską w Gdańsku i działalność jego, obok znaczenia naukowego, ma dla Polski znaczenie propagandowo-polityczne. W zrozumieniu tej swojej roli Towarzystwo wydało szereg odpowiednich wydawnictw w językach obcych. Prócz tego w r. 1933 T-wo wydało zbiorową księgę pamiątkową pod redakcją dr. Wł. Pniewskiego, poświęconą ciekawej i zasłużonej Polsce postaci Krzysztofa Celestyna Mrongowjusza (1764—1855). W przygotowaniu znajdują się wydawnictwa—„*Monumenta Poloniae Maritima*", zbiór źródeł do dziejów morskich Rzplitej w opracowaniu Komitetu Redakcyjnego, złożonego z dr. St. Bodniaka, dr. M. Dragana, dr. K. Górskiego, dr. L. Koczego, dr. K. Lepszego, dr. M. Pelczara i dr. A. Walawendera, dalej „Józefa Wybickiego życie i archiwum" w opracowaniu prof. dr. A. Skałkowskiego, wreszcie „Korespondencja Stanisława Przybyszewskiego" w opracowaniu dr. St. Helsztyńskiego.

Lista już wydanych i projektowanych wydawnictw świadczy o wytężonej działalności tej polskiej placówki kulturalno-naukowej w Gdańsku. Na tem jednak działalność T-wa się nie wyczerpuje. Organizuje ono stałą działalność odczytową, przedstawienia teatralne, wystawy sztuki polskiej i t. d. Ciekawą i pomyślną inicjatywą T-wa jest założenie t. zw. Stacji Naukowej, która daje mieszkanie i miejsce pracy dla uczonych polskich, przybywających do Gdańska na poszukiwania naukowe w tamtejszych archiwach i muzeach.

Towarzystwo rozwija swą pożyteczną działalność już od lat trzynastu. (J. GR.)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Ossolineum ukazał się duży tom pism prof. Ignacego Chrzanowskiego p. t. „Literatura a naród". Są to odczyty, przemówienia i szkice literackie z zakresu przeważnie historjozofji i literatury polskiej. Stron 424. — Cena zł. 15.—.

Umieszczony na początku wykład „O literaturze polskiej" podejmuje tezę Mickiewicza, że „cała literatura polska jest rozwinięciem i zastosowaniem dogmatu patrjotyzmu". Otóż stosunek literatury naszej do idei narodowości i do życia narodu, rozpatrywany w dalekim zasięgu, od Kochanowskiego aż po lata ostatnie, — stanowił kryterjum, wedle którego dokonano doboru poszczególnych prac, i tworzy jedną spójną myśl przewodnią całego zbioru.

A prace te, głęboko ujęte, w mistrzowskiej formie jasnego wykładu mówią nietylko o Kochanowskim, o romantyzmie i „trójcy wieszczów", o liryce Asnyka, o Sienkiewiczu i Prusie, Wyspiańskim i Żeromskim,—ale także o dziele Komisji Edukacyjnej i pismach pedagogicznych Staszica, o naszym „Hymnie narodowym", o zasługach Niemcewicza i Jana Śniadeckiego, o filozofji Cieszkowskiego i znamiennej rozprawie politycznej Trentowskiego, podają charakterystykę Dmowskiego jako pisarza politycznego i podkreślają żywotność tematu „Walki o Bałtyk" Wacława Sobieskiego.

Wydanie tych prac, rozrzuconych po czasopismach i mało dostępnych, było bardzo potrzebne i oddawna oczekiwane.

*

Już w poprzedniej powieści „Hordubal" użył czeski powieściopisarz, Karol Czapek niebanalnego zresztą chwytu trzykrotnej relacji z coraz to innych ust — tego samego faktu, w danym wypadku ciągu faktów, składających się na ciężki i górny żywot Juraja Hordubala.

Na podobnym pomyśle oparta jest konstrukcja nowej rzeczy znanego autora („Meteor" — przełożył z czeskiego Paweł Hulka Laskowski. Warszawa 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego, str. 242).

Sensacyjny wątek — ot taki sobie, codzienny wypadek samolotowy, „kapotaż" i spłonięcie podczas wichury — został tutaj wykorzystany dla zadzierzgnięcia sieci tajemnicy, opowiedziany przez trzy, różne psychicznie i rozmaicie się wypowiadające, osoby: szarytkę, jasnowidza i poetę.

W rezultacie otrzymujemy pełny wizerunek wewnętrzny i kolorową taśmę losów „Przypadku X" — z tem nieśmiałem zastrzeżeniem, że podobno ani kobiecie (choćby to była „dobrodziejka"). ani takiemu „magikowi, co jasnowidzi", ani tembardziej poecie w stu procentach dowierzać nie wolno.

Ten ostatni zresztą w odsyłaczach do bruljonu swej barwnej, interesującej nowelí z całą żarliwością twierdzi, że bliższa prawdy jest jego, być może, fikcyjna historja i napewno bogatsza w pożywne soki właściwej istoty rzeczy od ścisłego sprawozdania kroniki policyjnej, rzeczowo ustalającego t. zw. niezbitą prawdę. No i trudno nie zgodzić się z tym poglądem, nie uznać wyższości ludzkiego oka (a więc i prawa do dowolnego przerabiania szczątków, w ten lub inny sposób „widzianej" rzeczywistości) nad aparatem fotograficznym.

Twórczość Czapka, z całą pewnością, trudno byłoby nazwać laicką, Jego, powiedziałbym katolickość polega, między innemi, i na tem, że nie pozwala on na monopolizowanie przez ślepy traf całych, olbrzymich dziedzin życia, uznając za współtwórczy także twardy i nieubłagany ład moralny. Wykroczenie przeciwko niemu równa się zakłóceniu przyrodzonego prawa panującego we wszechświecie i wymaga ekspiacji poprzez, biegunowo — od tamtych podyktowanych cynizmem zbuntowanego umysłu — różne akty uczynkowe.

Naprawdę nowoczesne jest spojrzenie czeskiego pisarza na zgniły, ale wciąż jeszcze miotany konwulsjami zaborczości,

kapitalizm międzynarodowy, najbezwstydniej demaskujący się na terenach własnej ekspansji, w t. zw. kolonjach.

Takie smaczki komercjalizmu, jak pakiety akcyj rzekomych, w gruncie wcale nie istniejących, fabryk cukru trzcinowego gdzieś na odległej Kubie...

Prawdy wiary ludzi, którzy, „po utracie wiary w cukier i asfalt, stracili wiarę w cokolwiek innego na świecie" ... takie wreszcie hasła — „kolonje! kraje, które nie są dla człowieka ojczyzną, lecz jedynie terenem eksploatacyjnym!" — oto wyczuwalna atmosfera współczesnego, kupieckiego neopoganizmu, skutecznie do tej pory tłumiącego idealniejsze porywy rdzennych cywilizacyj — nawiasowo, w znakomitym skrócie, ukazana w książce Czapka. (ST. J).

MUZYKA

FILHARMONJA — koncert *f-moll* zawsze stanowi atrakcję, stając się punktem głównym programu, mimo głosów i sądów, które twierdzą, iż obywa koncerty fortepianowe „...nie ukazują Chopina w najlepszem świetle".

Gdybyśmy się nawet z tem zdaniem i zgodzili — podziw dla genjusza muzycznego wielkiego twórcy wzrósłby tylko, tak dużą skalę przedstawiają obydwa, tak ogromne wywierają wrażenie.

Drugi, *f-moll*, grał w piątek Zbigniew Drzewiecki; technicznie — przyznajmy — odtworzył go bez zarzutu, aczkolwiek zbyt mało włożył w interpretację uczucia, którego brak pozbawia Chopina jego osobowości. Rzecz prosta, iż uczucia nie należy identyfikować z sentymentalizmem, może być przecież, co niejednokrotnie podkreślałem, tak dla Chopina charakterystyczne uczucie, znamionujące heroiczną strukturę jego postaci. Przecież był on romantykiem polskim, a romantyzm polski, wyrosły wśród zmagań narodu o skali najgłębszej, nie mógł przejawiać się w akcesorjach i przeżyciach na miarę jedynie rozrzewnionych wzdychań.

Interpretację Drzewieckiego próbowano tłumaczyć jego zamiłowaniem do muzyki współczesnej, tłumaczenie to jednak nie wyjaśnia całkowicie zagadnienia. Drzewiecki rzeczywiście dobrze odtwarza utwory, będące wyrazem dnia dzisiejszego, sposób np. jakim traktuje Prokofjewa, zasługuje na najszczersze uznanie, chociaż jednak, gdy gra sam Prokofjew, twórczość jego nabiera ciepła, co wskazuje, iż właśnie struktura Zbigniewa Drzewieckiego oraz rodzaj jego techniki nie pozwala mu na inne traktowanie Chopina, aniżeli mieliśmy to możność usłyszeć w piątek.

Słuchając koncertów chopinowskich nie można się pozbyć wrażenia, że rola orkiestry sprowadzona jest w nich do roli czegoś, co usiłuje nieustannie i natrętnie przeszkadzać partji fortepianowej, która nie tylko dominuje, ale jest skończoną pełnią kompozycyjną, mogącą się obejść doskonale bez żadnych naddatków. To też Georges Georgescu potraktował akompanjament nadzwyczaj dyskretnie. I rzeczywiście umiał to uczynić w sposób doprawdy idealny; doprowadzenie *pianissimo* do granicy sięgającej krańca możliwości, jak pokazał w czwartej symfonji *c-moll* Beethovena, świadczy o możliwościach oraz sile suggestji, jaką rozporządza. Georgescu należy do tych dyrygentów, co to wywierają wrażenie wirtuoza, grającego, dosłownie—na zbiorowym instrumencie orkiestry, umiejącego zeń wydobyć wszystko, każdy zamierzony efekt. Beethoven w jego interpretacji przedstawił się nam z nowem obliczem, może innem, aniżeli tem, do którego przyzwyczailiśmy się wszyscy i od lat, ale obliczem wspaniałym.

W programie był oczywiście i Dukasa „Uczeń czarnoksiężnika". „Oczywiście", bo utwór ten należy do szczególnie ulubionych przez Georgescu. Nic dziwnego — potrafi on zeń wydobyć całą dukasowską wizję plastyczną. Treść bajki staje się wyraźna, opowieść tak ciekawa, iż niemal przeżywamy całą emocję nieposłusznego ucznia, który w nieobecności mistrza próbował siły zaklęć — ogarnia nas wraz z nim przerażenie, wreszcie z ulgą oddychamy atmosferą pogodnego finału.

Wreszcie *Pini de Roma* Respighiego. Respighi należy do niewątpliwych znawców tajników instrumentacji, można nawet rzec: dzisiaj do najlepszych. Z prawdziwą przyjemnością słuchamy jego transkrypcyj, z mniejszą utworów własnych... Posłuchajcie „Petruszkę" Igora Strawińskiego, na której się z całą pewnością wzorował; porównajcie z granym w ostatni piątek utworem. Różnica ogromna, taka jak między genjuszem a dobrym majstrem.

Georgescu cały patos i przepych barwy wydobył w sposób, który bez przesady, oszołomił słuchaczy. Przebaczaliśmy drobne i bezduszne szczegóły w postaci imitowania naturalistycznego świergotu ptactwa — całość, dzięki świetnemu dyrygentowi, urosła do rozmiarów jakby poprostu wspaniałych. Rozpiętość cieniowania, a przedewszystkiem dynamika prowadzącego sprawiły rzadko wywoływane wrażenie cudu przetwarzania się drobnych nutek na długich linjach w niebywałą potęgę orkiestrowego brzmienia.

Oklaski sali miały w sobie coś z żywiołowej radości pierwszej części wykonanego utworu. Wydawało się wówczas, iż widać wyraźnie postać kompozytora, który z pełną satysfakcją *mówi:*

„A więc nareszcie zrozumieliście mnie wszyscy, mój patos moje bogactwo i owe niemądre świergolenia..."

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

Falkowski J. i Pasznycki R. Na pograniczu Łemkowsko-Bojkowskiem. Z mapą, 29 rycinami i 9 tabl. Lwów, 1935. S. 128. Tow. Ludozn.

Gronowicz Antoni. Prosto w oczy. Poezje. Lwów, 1935. Księgarnia Nowoczesna.

Raczyński Marjan. Materjały do historji Ciechocinka od zapoczątkowania budowy warzelni soli do wybuchu wielkiej wojny. Z 75 rys. i 3 planami. Zesz. I. Warszawa, 1935. Str. 508. (Cena zł. 15. Skład w Domu Ks. Pol. Wydanie na papierze kredowym. Do książki dołączono 6 stron wykazu błędów druku).

Prus Bolesław. Pisma. Tomy VI, VII i VIII. (Szkice i obrazki t. 2—4). Warszawa. Gebethner i Wolff.

Gorzycka Jadwiga. Krysia i karabin. (Nowele). Warszawa, 1935. Książnica-Atlas.

Chór wieków. Antologja poetycka w układzie W. Miłaszewskiej, J. Rembielińskiego i Stanisława Miłaszewskiego. Z przedmową J. E. ks. arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Poznań, 1936. Księgarnia Sw. Wojciecha. Str. XII i 447. Cena zł. 10.

Ferrero G. Wielkość i upadek Rzymu. Dzieło nagrodzone przez Akad. Franc. Tom I. Podbój. Tom II. Juljusz Cezar. Str. 378 i 398. Poznań (1935). Wydawnictwo Polskie R. Wegnera.

Kiewnarska Elżbieta. 200 obiadów. Kompletne menu z przepisami. 65 ilustr. Poznań (1935). Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. S. 144.

NA MARGINESIE

Św. Mikołaj przyniósł na gwiazdkę amnestję dla uwięzionych, a więc wolność. Ciekawy był widok w Senacie, jak się zachowali wobec tego podarku Wacio i Wojtuś, objedzeni wolnością dawni rewolucjoniści.

— Nie dawać, nie dawać — krzyczeli. — Jednym tylko kryminalistom ona się należy!

A tak to walczyło o „wolność, równość i braterstwo"! Teraz równość i braterstwo chowają dla innych jako przywilej...

*

Prezes Akademji Literackiej senator Sieroszewski, aby nie stracić oparcia w legendzie, szuka konkretów, które po niej pozostały. Stanął więc w Senacie w obronie obozu izolacyjnego. Sieroszewski, jako głęboki myśliciel, jest twórcą nowego kierunku myślenia o rzeczywistej rzeczywistości, to znaczy o konkretach. Kierunek ten zyskał nazwę konkretynizmu.

*

Trzydziestolecie: 1905—1935.

Jak się to odmieniło! Dzisiaj Prystor przywołuje ks. Radziwiłła do porządku!

TREŚĆ:

Łowca we własnych sidłach *Z. R.* — Rozproszenie jako kalectwo umysłowe *Z. Krasnowskiego.* — Noce i dni *K. L. Konińskiego.* — Mróz *A. Chojeckiego.* — Głosy. — Z powodu pewnego życiorysu *Wł. Konopczyńskiego.* — Nauka i literatura („Ze studjów dantejskich" *Wł. Jabłonowskiego*; „Rocznik gdański" *J. Gr* i t. d.). — Muzyka *W. Narusza.* — Nowe książki. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.